

Antoni Soduła „Komórki do wynajęcia”

Czy są w Polsce magiczne miejsca? Nie takie, które reklamuje się celem zwabienia turystów — jak np. piramida w Polsce czy karczma napoleońska. W ogóle — czy są na świecie magiczne miejsca — to znaczy takie, w których chęć bycia człowiekiem znaczy zadawanie sobie pytania o wcześniejszych mieszkańcach tej ziemi — i ich nasze kontakty z Bogiem (w jakikolwiek sposób Go pojmujemy). I dla mnie magicznymi są też te miejsca, w których żywo odczuwam piękno świata (jak powiedział kiedyś Andrzej Suryn: *Bo piękno jest w nas wzrokiem Pana*). Takim bardzo bliskim dla mnie miejscem jest Krąg Przestrzeni Teatru Węgajty, czy — jak ostatnio — Krąg Stabieńszczyzny.

„Śmiertelny całun” Teatru Węgajty — spektakl oparty na „Dziadach cz. II” Adama Mickiewicza jest próbą gry teatralnej — a raczej magicznego spotkania aktorów i widzów z przestrzenią: niebem i ziemią. Próby poszukiwania języka wspólnego i dla nas, ludzi już XXI wieku, i bohaterów prawdziwych „dziadów” sprzed dwustu lat, i prehistorycznych pogańskich obrzędników — są w gruncie rzeczy próbą zbratania ludzi w powtarzalnym magicznym kręgu. Więcej — gdy patrzyliśmy na aktorów biegających poprzez wzgórza czy łąki — czuliśmy, że i one stają się bohaterami spektaklu, który rozgrywa się tu: w Węgajtach, w Dziadówku, na Stabieńszczyźnie — ale tak naprawdę — po prostu na świecie. Wacław Sobaszek, twórca tego spektaklu opartego na „Dziadach” Mickiewicza stwierdził, że grając na łące — czuje kości ludzi pogrzebanych w ziemi.

Takim magicznym miejscem był też dla mnie Wierszalin, wioska, w której żył prorok Ilia (w latach

trzydziestych XX wieku próbował na białostockiej wsi stworzyć coś w rodzaju religii będącej syntezą katolicyzmu i prawosławia — apelującej do najbiedniejszych ludzi tej okolicy). Aby zbliżyć się do trudu rolników ciężko pracujących w polu — postanowiłem dojść tam na piechotę z Krynek. Szedłem cały dzień w upale i znalazłem się w Wierszalinie wieczorem, zmordowany do ostatniego tchu. Rozbiłem namiot nieopodal chaty-świątyni (miejsca życia i modlitw proroka Ilia, a po zabraniu go i zamordowaniu przez Armię Radziecką w 1939 roku — miejsca życia i modlitw trzech jego wyznawczyń — jakby sióstr zakonnych, żyjących jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku). W środku nocy obudziłem się — i przyznaję — z niejakim strachem wyszedłem z namiotu. Bałem się po prostu, że zobaczę przed sobą, na polanie, cień proroka Ilia. Tymczasem zwykły i piękny pejzaż leśnej polany zalanej światłem księżyca wcale nie budził grozy — tchnął wielką serdecznością, krzepił. Nie ma w tym nic dziwnego — jeżeli wierzymy, że święci pomagają nam kontaktować się z Bogiem, to mogą to robić przez wpływ miejsca, gdzie pędzili żywot (pielgrzymujemy przecież do grobów i relikwii świętych). A że prorok Ilia nie został uznany za świętego w żadnym odłamie religii chrześcijańskiej — cóż to szkodzi? Za to został uznany za świętego przez Cerkiew prawosławną ostatni car Rosji!

Trzecim takim magicznym miejscem dla mnie jest cała Suwalszczyzna — krajobraz bliski Bogu, przyozdobiony cudną wstęgą chwastów i kwiatów przydrożnych, z ludźmi schodzącymi się polnymi drogami na modlitwę.

*W kaplicy w Dziadówku
więcej dusz
niż w złotym kościele*

Suwalszczyzna to bardzo ubogi kraj — ale kraj tak blisko Boga, kraj, w którym słowa: *Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie*, pozwalają te zagadkowe słowa z Ewangelii zrozumieć — że nie bogactwo, ale spacer tymi polami do kościoła są wstępem do Królestwa...

Znam i kocham kilka miejsc na Suwalszczyźnie — i za nie dziękuję ludziom, którzy mnie tam zaprosili i ukazali jej „magiczną moc”:

- Wackowi za Dziadówek (to prawdziwa, nie zmyślona nazwa wioseczki),
- Halinie i Maciejowi za Przełomkę,
- Waldkowi za Stabieńszczyznę.

Stabieńszczyzna — idę tam polną drogą, wśród żaru południowego lata. Przystaję w cieniu kasztanowca, piję i chłodzę się wodą zabraną, na szczęście, w podróż. Za chwilę — drewniany krzyż na rozstajach przyozdobiony polnymi kwiatami. To dla mnie znak, że zaczyna się „magiczny krąg Stabieńszczyzny”, którego centrum jest Ośrodek Pracy Letniej z Dziećmi — czyli Wioska Eko-Art. — projekt pomysłu i realizacji Waldka Czechowskiego.

Długie, częściowo pokryte zaroślami jezioro (na szczęście także liliami wodnymi) otacza ją niewysokie wzgórza. Od szczytu łąka i chata Waldka Czechowskiego — pracujący z dziećmi wolontariusze mieszkają tam, i mogą kąpać się pod studnią lub w jeziorze. Woda jest świetna — po nocnym ognisku, niedospany, wstaję wcześniej i idę kąpać się w jeziorze.

*Z tego jeziora rano
człowiek wraca
innym człowiekiem.*

A wolontariusze (głównie dziewczęta studiujące psychologię, pedagogikę czy nauczanie) po kąpieli muszą przygotować śniadanie, potem pozmywać i iść na zajęcia z dziećmi. Potem obiad — też wspólnie gotowany i po południu — pracozabawa.

Pytam, ile tym zarabiają?

— Ani grosza. Pracują za darmo, na jedzenie same się składają, jedynie część kosztów podróży może być zwrócona.

— I czemu to robicie?

— Bo tu jest fajnie!

I co roku prawie wszyscy znów przyjeżdżają.

Zadumałem się — gdzie w tej chwili w Polsce tak samo się dzieje? Taka pracozabawa z wiejskimi dziećmi za nic, za świadomość, że się robi coś dobrego i ciekawego.

Ale to poczucie daje im Waldek Czechowski. To na jego głowie spoczywa odpowiedzialność za to, by wszystkim tu było dobrze. I ciesząc się urokami lata, cieszę się jednocześnie, że nie ja tu to wszystko organizuję.

Samo miejsce ma magiczny urok. To mityczny Stabas — bóg czy heros Jaćwieży — tu, na kamienistym wzgórzu, czynił ofiary bogom. I wieczorem, przy ognisku dumamy o mitycznym czasie tutaj — i o tych, którzy próbowali zgłębić urok tego miejsca, mieszkając długo, samotnie w chacie Waldka — czyli o malarzu Luku i poecie Andrzejku.

Rozpalałem ognisko, gdy Waldek przyniósł i postawił pod drzewem obok stos deseczek. Przyjrzałem się im — mimo ciemności widać było, że to obrazy malowane na deskach. Pomyślałem, że Waldek chce się rozstać z nimi, paląc je. Nigdy nic nie lubię niszczyć, a obrazy są dla mnie świętością (każde — jarmarczne też). Zatknałem obrazy za gałęzie drzewa — i zacząłem namawiać gospodarza, by ich nie palił. Ani mu to było w głowie, to były dla niego niemalże ikony. Przyniósł je, by kręgowi ludzi wokół ogniska opowiedzieć o nich i o malarzu, który samotnie zamieszkiwał to miejsce. A potem jeszcze długo mówił i o nim, i o poecie Andrzejku, którego „inskrypcje” czy „złote myśli” tkwią jeszcze tutaj na ścianach w kuchni (wydane niedawno w Oficynie Przyjaciół). Najbardziej lubię wesołe np.:

Mistrz: Jesteście kolego zbyt grubi na świętego!

Uczeń: A Budda?

Mistrz: On przytył potem!

Przyjechałem na Stabieńszczyznę także po to, aby zobaczyć fascynujący niemiecki teatr-cyrk Kala Sheytan (niezwykła, rodem z XIX wieku, trupa artystów, grająca we wsiach czy małych miasteczkach wspaniały spektakl, w którym popis żywych ognia, akrobacji czy żonglerki jest właściwie seansem gry komediowej), a także chęcią spotkania się tu ze wszystkimi przyjaciółmi.

Kala Sheytan

Miałem Was zobaczyć

znów za rok.

Wolę jutro — i wyruszam w drogę.

Ale spóźniłem się na spektakle grane dla dzieci i wszystkich dorosłych w Wiosce Eko-Art. Tym bardziej ucieszyłem się, gdy wieczorem zaczęli grać i śpiewać — a my tańczyliśmy wokół ogniska.

W nocy ogień łączy ziemię z niebem, a w dzień słońce łączy niebo z ziemią!

A te komórki z tytułu?

Jest ich bardzo dużo. Te prawdziwe, w których trzymane były kozy i suche drewno — wolno już zanikają. Pojawiła się ich odmiana nazywająca się — telefony komórkowe. Sens ich jest ten sam — mają właścicielom przynosić pieniądze — a użytkownikom dawać „zaciszną dziuplę”, w której się mogą schować!

Paradoks — komórki nie służą do prawdziwego kontaktu z ludźmi. Żeby on mógł nastąpić, potrzebne jest jego przeciwieństwo — czyli osamotnienie. Bez „napętnienia się” na nowo bogactwem świata, zdarzeń, myśli — kontakt jest niemożliwy. A wymiana myśli z ludźmi to przecież nie to, co można usłyszeć w telefonach komórkowych. Jakoś jeszcze tam nie słyszałem np. opozycji przeciwko triadzie Heglowskiej czy analizy spektaklu Petera Brooka. Natomiast ze wszystkich telefonów komórkowych daje się słyszeć krytykę czystego rozumu — nam immanentnie przynależnego od czasu Kanta. Kontakt — to nie informacja, że rozmówca nosi właśnie dziurawe skarpetki czy siedzi po słonecznej stronie autobusu. Kontakt — to nie międlenie słów z nudy!!!

I tu dochodzę do trzeciego znaczenia słowa „komórka”.

W dzieciństwie bawiłem się w „komórki do wynajęcia” — czyli w miejsca, gdzie każde z dzieci chciało być. I takimi komórkami, w których każdy chce być — jest i magiczny krąg Węgajt, i Wierszalin, i galeria Heleny i Macieja w Przełomce nad Jeziorem Hańcza, i wzgórze Stabasa z chatą Waldka Czechowskiego..

Każdy, kto nie ceni telefonów komórkowych i całej tandety, którą wciska nam świat, szuka takiego właśnie „miejsca do wynajęcia” — czyli komórki. Ale są one różne. Bardzo wielu bogatych ludzi kupuje sobie takie „chaty nad jeziorem”, nazywa to „daczą” i pierwsze co robi, to odseparowuje się od innych, ogradzając posiadłość murem, drutem kolczastym i prądem, a najlepiej wszystkim tym naraz. Wyobraźmy sobie kozę, która z własnej woli odrutowuje swoją komórkę. I taka „dacza” jest przestrzennym odpowiednikiem „dziupli telefonu komórkowego”. Co robią ludzie w takich dziuplach — nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Ale drugi typ — komórek do wynajęcia — takich jak Teatr Węgajty, chata Waldka na Stabieńszczyźnie, galeria Haliny i Macieja w Przełomce (daję przykłady ze „swojego podwórka”, chociaż w całej Polsce sporo jest takich miejsc) jest inny. Te komórki nie odrutowują się drutem kolczastym — przeciwnie — otwierają się dla wszystkich, którzy zechcą tu przyjść. Warunek (nigdzie niepisany), by przychodzili spragnieni kultury czy dobra, a nie pysznili się swoją pozycją czy chamstwem. I ten nigdzie niesformułowany warunek (myślę, że to ja teraz po raz

pierwszy to werbalizuję) jednym szeroko otwiera drzwi, drugim — po zrozumieniu, że tu nie można się niczym pysznić — ułatwia szybkie odejście.

Myślę ze smutkiem, jakimi dziś barierami ludzie odgradzili się od siebie — i jakimi wartościowymi „oazami” są takie miejsca. Jak chata Gospodarza z „Wesela” Wyspiańskiego kiedyś symbolizowała cały naród, tak dziś stare chaty Wacka, Waldka, Haliny i Macieja — i daj Boże! by było ich jak najwięcej — reprezentują dla mnie to, co najciekawsze w polskiej kulturze początku XXI wieku.

A że ci „inni” postanowili takie miejsca „zamorzyć głodem”? Może znajdzie się ktoś, kto np. da pieniądze na wyżywienie wolontariuszy pracujących w Wiosce Eko-Art? I nie będzie chciał w środku tejże umieścić hałaśliwej reklamy o tym!

I haiku „na zakończenie” — już nie moje, tylko arcymistrzów, mówiących w doskonałej formie to, co chciałbym tu wyrazić:

*W mojej chacie tej wiosny
Nie ma nic,
Jest wszystko.
(Sodo)*

*Przerywam, żeby posłuchać.
Świerszcz
Zrobił to samo.
(Arizona Zipper)*

Dwa ostatnie haiku w tłumaczeniu Czesława Miłosza.

Antoni Soduła